

Wychodzą we *Wtorek*,  
*Czwartek* i *Sobotę*. We  
Lwowie prenumerata ro-  
czna 6 Złr. półr. 3 Złr.  
kwartał. 1 Złr. 30 kr.  
miesięcznie 40 kr. m. k.  
W kraju z przesyłką po-  
sztowną rocznie 8 Złr. —  
półrocznie 4 Złr. — kwar-  
talnie 2 Złr. m. k. Ryciny  
mód kwartał. 1 Złr. 20 kr.

# NO WINY

Ogłoszenia wszelkiego  
rodzaju przyjmują się za  
opłatą od wiersza pi-  
smem petyt w przedzia-  
le za jednorazowe umie-  
szczenie po 3 kr. za na-  
stęp. po 1 1/2 kr. i za do-  
płatą 10 kr. stał. za ka-  
żdorazowe umieszczenie  
Biuro ekspedycji w księ-  
garń H. W. Kallenbacha.

## KRÓL DZIADÓW.

### III.

#### Romantyczny młodzieniec.

(Ciąg dalszy).

Matka się zerwała, by zbliżyć się do syna, i major na-  
wet zrobił parę kroków, jedną wiedziony myślą. Oboje  
bali się zawsze bliższego zetknięcia się syna z ojcem, by  
za nadto jasno nie wystąpiło to uczucie pogardy, jakie prze-  
czuwali u Eugeniusza, lecz młody człowiek sam się po-  
wściągnął i zamilkł...

— Wiem ja, wiem, że ci to może być nie miło, ale  
w życiu trzeba się nieraz zastosować do okoliczności; od-  
powiedział pan graf, który przy innych właściwościach swo-  
ich miał niezwalczone przekonanie o swojej nieomyślności, i  
ozwanie się nagle syna na swoją wytłumaczył stronę.

— Pozajutro tedy, ciągnął dalej, dobrzeby było, abyś  
się wybrał wcześniej, i to nowym powozem, czwórką, bo  
w tem miasteczku pomiędzy temi parafjanami małomie-  
szczańskimi, i tak pozwalają sobie rozmaite o nas pleść  
rzeczy... Należy tedy takim chłystkom zaimponować.

Tu pan Ignacy krzyknął wyraziście, zadowolony nie-  
pospolicie wymowną swadą swoją.

— Cóż nas to może obchodzić!... zawołał major, któ-  
rego ta rozmowa mocno niecierpliwiła.

— Nie wszyscy są takimi filozofami jak pan brat;  
ja z Eugeniuszem...

— Ja mój ojcie!... przerwał Eugeniusz; lecz mu oj-  
ciec nie dał dokończyć.

— Więc tedy, mówił dalej, wybrawszy się wcześniej  
mógłbyś wstąpić do Łypkowie...

— Do pana Glinieckiego! zawołali razem pani Zo-  
fja i major.

— Zkądże to zadziwienie! mówił graf zwrócony do  
żony z wyrazem surowej niby powagi, która na jego twa-  
rzy śmieszną się tylko wydała.

— Wszak nigdy z nim nie żyliśmy tak bardzo; wtrą-  
ciła pani Zofja nieśmiało.

— My mało gdzie wyjeżdżamy, ale Eugeniusz znu-  
dziłby się; dla czegoż niema odwiedzić sąsiadów... Zre-

szta pan Gliniecki wywiódł się ze szlacheństwa i jest już  
dziś człowiekiem zamożnym, uważanym.

— I ma dwie córki mających po 100000 posagu, nie  
prawdaż panie Ignacy?... wyciął major, lubiacy mówić pra-  
wdę bez ogródki, a oczy zaiskrzyły mu się szlachetnem  
oburzeniem.

Matka widząc, że się zanosi na kłótnię, starała się  
odwrócić uwagę syna, dając mu niektóre zapytania i opo-  
wiadając o kuzynce Henryce.

— A gdyby nawet i to była myśl moja?... odpo-  
wiedział pan Ignacy.

— Przypomniałbym panu bratu, zkąd powstał Gliniecki.

— Otóż macie wolnomysłnych!... demokratów!.. pię-  
knie mówią, a sąsiadowi zarzucają ekonomiczne pochodzenie.

— Ja mu zarzucam podły sposób, jakim przyszedł  
do majątku, i jakim go dzisiaj jeszcze wzmaga. Zarzu-  
cam mu, że na jego majątku ciężą lży ludzkie, lichwa,  
oszukaństwa i brudy wszelkie. Pochodzenie jego bardzo  
mało mnie obchodzi. Wy to, co się w arystokratów ba-  
wicie, na nie uważacie niby, a niechże przyjdzie interes,  
gotowiście upodlić się przed najpodlejszym człowiekiem,  
łączyć się z łotrem, byle miał majątek, chociażby na nim  
krew była. Tfu do krośet!... Ja szanuję także urodzenie,  
jako spuściznę naszych ojców, ale więcej szanuję uczciwość  
i prawosć, bo to podobno cała spuścizna, jaką zostawić  
będziemy mogli naszym synom i wnukom.

— Gorączka mówi z pana majora! przerwał pan  
Ignacy, który jak zwykle ustępując chciał rzecz całą w  
żart obrócić... Cóż wreszcie córki mają odpowiadać za  
ojca?

— Jabłko niedaleko pada od jabłoni... A potem nie-  
chciałbym żeby Eugeniusz walał sobie ręce brudnem złotem.

— Ale zawsze złotem! mruknął graf po cichu i we-  
stchnął do tego.

— Czy to warto sprzeczać się o to! przemówiła  
pani Zofja, chcąc już raz przerwać rozmowę, na którą jak  
to dobrze dostrzegła, Eugeniusz zwracał uwagę ze szcze-  
gólnym, niepokojącym ją wyrazem na twarzy. Paniutki  
podobno dobrze wychowane, a cóż to nareszcie szkodzi,  
jeżeli Eugeniusz poodwieża wszystkie sąsiedztwa...

— Spodziewam się, że mnie ojciec nie każe tam je-  
chać już z oświadczeniem? zagadł Eugeniusz na pół z uśmie-  
chem, a na pół z wyrazem dziwnego jakiegoś niepokoju,



który nie mógł się ukryć przed okiem matki, usiłującej zrozumieć, co się w sercu syna dzieje.

— Zapewne! zapewne! mówił ojciec dalej.... A zresztą sam poznasz.... a nuż ci się podobają....

— Mnie!.... nigdy!.... nigdy!.... zawołał tak gwałtownie, że się wszyscy na niego popatrzyli z niemałym zdziwieniem.

Lecz Eugeniusz wnet się powściągnął, i kryjąc uśmiechem chwilowy wybuch swój, wziął się do herbaty. Na stała długa chwila milczenia. Pierwszy przerwał ją Eugeniusz; lecz był to już widocznie dzień feralny dla tej rodziny.

— Chciałem się też zapytać mamy, zaczął jak naj- obojętniej; co to jest ten król dziadów, w naszej okolicy mieszkający. Chciałbym wiedzieć bliższe o nim szczegóły...

Pytanie tak proste i niewinne zrobiło wszakże ogromne wrażenie. Graf Ignacy, który niósł właśnie filiżankę do ust, tak się zatrząsł, że aż się herbata wylała, i ledwie filiżankę utrzymać zdołał. Pani Zofja zaś poczerwieniała okropnie. Major jeden siedział najspokojniej.

— Przyznam się, że tyle nasłuchałem się o jego władzy!... Dziwny to pojaw!... prawda mam!... w naszym wieku....

Nie słysząc odpowiedzi żadnej, spojrział pan Eugeniusz na rodziców i zdziwił się niepomału. Ojciec był bładym jak chusta, matka ponsowa jak najczerwieńsza róża. Nie mogąc wszakże przypisywać tego swemu pytaniu, ciągnął dalej:

— Taki człowiek, z taką władzą, tajemniczo rozchodzącą się po całej okolicy, a nawet po całym kraju, jest to pojaw nadzwyczaj szczególny.... i mógłby być zakierowany....

— Jest niczem innym! zawołał pan Ignacy z niezwykłą gwałtownością i zrywając się z miejsca, jak tylko główną sprężyną złodziejstw w całej okolicy, którą przed podległych sobie żebraków szpieguje.

— Dzisiejszy Iwan Hładysz uchodzi powszechnie za człowieka pocziwego.... i nie jest on szczęśliwy! przemówiła pani Wyżyńska głosem słodkim, ale drżącym nieco.

— Więc to dziedziczne jest królestwo? pytał dalej Eugeniusz z wzrastającym zajęciem.

— Dajcież mi pokój z taką rozmową! mówił pan Ignacy coraz gwałtowniej. Co mnie tam taka figura obchodzić może.

I porwawszy za czapkę, szybkim krokiem wybiegł do ogrodu.... Major tymczasem, który nie bez zadziwienia uważał zmieszanie, jakie się odbijało na twarzy bratowej, przystąpił do niej i zapytał ją z zwykłą swą otwartością:

— Co siostrze takiego?... czyś słaba?...

— Ja!... odpowiedziała jakając się.... ja od rana cierpię na ból głowy.

I spuściwszy oczy z wyrazem smutku wyszła także z pokoju.

Od majora nic także dowiedzieć się nie mógł Eugeniusz, bo major ledwie mu słów kilka odpowiedział, zbywając go ogólnikami o królu dziadów którego nważał, sam za rodzaj bajki, spoczywającej na dawnym podaniu.

— Ale on żyje tu od nas niedaleko! i miałem sposobność przekonać się o jego dziwnej i tajemniczej władzy.

— Być może! ale nie ma o czem gadać! odrzekł major w roztargnieniu, i wyszedł zamyślony. Po raz pierwszy uderzyła go jakaś tajemnica w domu, w którym lat tyle mieszkał, tajemnica brata, tajemnica bratowej, o której nic nie wiedział.

Eugeniusz wybiegł także i siadł na siwosza, który pod dzielnym jeźdzcem nowego nabrawszy ognia, pogonił wichru pędem po zielonej błoni. Śliczny to był ranek czerwcowy, pełen świeżości i woni, które z gór przychodząc rozdymały piersi do silnego życia. To też patrząc to w niebo pogodne, to na ziemię strojną w dzięki wiosniane, czwając tak lekko na koniu, jakby wiatr go unosił po przestworzu, nasz romantyczny młodzieniec uczył w sobie dziwne uczucie jakiejś zadumy i żądy razem. Było to uczucie pełne rozkoszy i zapалу. I wszystko co dumał, co roił, co żądał, wszystko wydało mu się w tej chwili podobnem do prawdy. Zdało mu się, że już żyje tem życiem awanturnikiem, które nieraz przemarzył, do którego ciągnęło go usposobienie jego exaltowane. O tak gonić, i gonić naprzód siebie w jakąś nieskończoność, i nieskończone przełamywać trudności, wszystkich ubiedz wrogów, największe przeskoczyć zapory, najdziwniejsze przebyć przygody, to by była rokosz najwyższa!

— Dalej koniu siwy! dalej mój koniu! naprzód! ku życiu innemu, wyskakującemu po za obręby zwyczajnej codzienności. Tylko dalej! pokąd nam obu sił i tchu stanie! Dalej i dalej!

Tak młodzieńcza grała głowa, i młodzieńcze drgało serce ku czemuś nieznanemu, awanturniczemu. Krew jego szybkim biegiem wzburzona, latała jakby prądem elektrycznym z mózgu do serca, z serca do mózgu.

Cała okalająca go przyroda zdawała się być w zmowie z nim, swoją niezwykłą pięknnością. Rzeczywiście cudna to była okolica. Mówiliśmy już, jak urocza była cała ta dolina, ciągnąca się od Wyżyniec, przez której całą szerokość pędził teraz nasz bohater, i z konia mógł łatwo przejrzeć mnogie jej piękności, w powabnym nieładzie tu i ówdzie rozrzucone. Gdzie oko zajrzy w okolo, kołysze się morze trawy w swej najświeższej bo wiosnianej jeszcze barwie, a po nim jakby wyspy rozrzucone, tu młynki nad strugą ku rzece szumiącą, tam futorki odosobione, tu wioski sadami obsłonięte, tu bliżej nieco miasteczko, okolone tak gestami ogrodami, że bliskość jego zwiastowały dwie wieżyczki kościółków ze środka drzew sterczące. A dalej w półkole zagięte wzgórza i góry, a jeszcze dalej za nimi kilka wyższych szczytów, śniegiem jeszcze



pokrytych. To szczyty Karpat, fantastycznie w dalekiej mgle wykrojone. Ku nim to to młody nasz jeździe roziskrzane oczy wyteżał, jakby w tych mglistych przestrzeniach, po gór szczytach, w pośród skał granitowych obłoków i burz, mieszkaly te wszystkie marzeń jego awanturniczne utwory. I nieraz wzdęły się piersi jego westchnieniem żądy, która go parla ku tym okolicom nieznanym.

Im dalej gonili, tem więcej oczy jego nabierały blasku. I z mgły obłoków, z śnieżnych szczytów spadały niżej, i w jedno coraz wyraźniejsze zwracały się miejsce. Za rzeką, ku której szybkim zbliżał się pędem, wznosiła się góra, samotnie prawie stojąca na szerokiej płaszczynie, do pół rzeką oblana, i cała najcudniejszą pokryta zielonością; jedną tylko nagą granitową ścianą nachylała się po nad wodę, a nad tą ścianą, z pomiędzy gajów woniejących i sadów kwitnących wznosiły się kopuły i krzyże świecące starego monasteru.

Śliczne to położenie i cudnie to piękna góra, zdala wyglądająca jakby klomb olbrzymi na skale zawieszony, godna zaiste, by zwrócić uwagę każdego podróżnika.

Lecz dla czego nasz młodzieniec, który zna ją od urodzenia, i tyle razy się na nią napatrzył, z wzrastającym ku niej spogląda zapalem. I usta jego, w pół otwarte do westchnienia, uśmiechnęły się z lekka, i cała twarz rozpromieniła się wzrokiem i uśmiechem jego.

Nagle konia zatrzymał i wyteżył ucho, a oczami spojrzał na drugi brzeg rzeki. Jemu zdało się, że po drugiej stronie rzeki słyzy podobny swemu tentent konia. Lecz nie! to było złudzenie, echo może, co odbiło głośniejsze uderzenie o kamień własnego konia. Nic nie słychać, tylko szum potoku, który z góry pędząc, na łotok złapany, prze się gwałtownie ku nęcącej go rzece. Darmo oczy wyteża. Za rzeką trudno co dojrzeć, bo tam od góry, od klomba nad skałą zawieszonego, jakby z olbrzymiego wazonu posypały się krzaczki drobniejsze, które tamtą stroną ciągną się aż ku miasteczku. Drożyna główna od miasteczka ciągnie się temi krzakami tak dobrze zakryta, że z tamtej strony najlepsze oko niedostrzeże nikogo, ani też ucho nie dosłysz końskiej stopy, miękko w piaszczysty grunt tonącej.

Chwilowy niepokój znikł z twarzy Eugeniusza. I z nowym zapalem pomknął dalej, a oczy jego i myśl podobno biegły naprzód ku zielonej górze. A przecież on się nie mylił, gdy mu się zdało słyszeć na drugim brzegu tentent konia. Tak było w rzeczy samej. Na drugiej stronie na drożynie przez krzaki wiodącej, dwóch jeszcze było podróżnych, dążących w tę samą co Eugeniusz stronę. Obaj jechali o kilkanaście kroków od siebie, i nie wiedzieli o sobie. Bo jeden jechał drożyną, a drugi jakby chciał by go nie postrzeżono, przemyskał się małemi ścieżkami, wydeptanymi przez chłopców, orzechy zbierających.

Drożyną jechał wózek jednokonny. Podróżny sam jeden w nim siedział i powoził razem; wózek i konik w najpocieszniejszym do siebie byli stosunku, rodzinnego prawie podobieństwa. I człowiek i konik i wózek, podobni byli do siebie starością i zaniedbaniem. Stary konik z powycieraną tu i ówdzie sierścią, kulał na dwie nogi, wózek utykał na jedno koło mniejsze od drugich i pęknięte, a podróżny kiwał starą, trzęsącą się głową. Półszorek na koniu był stary, wytarty, polatany, i sznureczkami, jak widać po mnogich guzach, nieraz już powiązany. Wózek miał już tylko chude i nagie zebra, bo półdrabinek dawno się już rozleciał; skape już tylko z niego sterczały ostatki, które już słomy na siedzenie wpakowanej utrzymać nie były w stanie. To też za każdym wózka ruchem nierównym sypała się słoma na wszystkie strony, z niemałą pociechą ptaszków, szpiegujących z poza krzaków, którzy wnet ją porywali do gniazdek swoich. Nie lepiej wyglądał jegomość na wózku siedzący.

Ktoby w tej chwili mógł przelecieć po nad tę piękną dolinę i popatrzeć z góry, musiałby się zaśmiać na widok przeciwieństwa między temi dwoma jadącymi w jedną stronę. Eugeniusz tak młody, pełen ognia, i tak przystojny; a jegomość na wózku taki stary, zgrzybiały i brzydki. Cała jego postawa była nader pocieszna, zaczawszy od starego kapelusza z podartemi bokami na niegdyś białą szlafmycę zasadzonego, z pod którego wysuwała się dłuższa od skrzydeł kapelusza umbrela zielona, a z pod umbreli dobywał się od niej jeszcze dłuższy nos, dwoma ciemno błękitnymi okularami obarczony, a niżej dłuższa jeszcze wysuwała się broda, coraz bliżej z długim nosem sąsiadująca. Wszystko to ożywiały dwoje niewielkich, siwych oczów, z niespokojnym, czychającym i świdrującym wzrokiem. Wzrok ten tym razem wyteżony był także ku zielonej górze z monasterem. Prawdziwie ten długonosy i długobrody staruszek z swym wózkiem i koniem, dążący okiem i myślą ku zielonej górze, to istna parodia naszego młodego Eugeniusza. Ilekroć to razy na drodze naszych usiłowań i dążeń zdybujemy się z podobnemi parodjami, idącymi z nami na wyścigi.

I trzeci podróżny w tę samą dąży stronę. Był nim młodzieniec także, i także na koniu. Jechał ostrożnie pomiędzy krzaki, oglądając się na wszystkie strony, a ciągle patrzył także ku zielonej górze. I koń i jeździec różnili się wiele od naszego Eugeniusza i dzielnego siwosza.

Był to po prostu jakiś małomiejski elegant na leniwym broniaku. W dalsze nie będziemy się wdawać opisy. Wszak zdybiemy ich jeszcze wszystkich. Bo w tej chwili najważniejsza, by się dowiedzieć, dokąd wszyscy trzej dążą. A w krótko się dowiemy przecie, bo w końcu muszą się zjechać w jednym miejscu, bo im bliżej do góry z monasterem, tem więcej ścieśnia się dolina i kończy wre-



szcie u stóp góry, do której dążą wszystkie boczne drożyny i zlewają się w bity gościniec popod górę wiodący. A tam pod górą jest gaik jeszcze, koło niego stara jakaś pasieka, na małym wzgórzu kapliczka kamienna, staremi lipami ocieniona, sławna w całej okolicy z cudownego obrazu prze-najświętszej Panny, u którego przed wiekami fundowana goreje lampa.

(C. d. n.)

## Ostrożnie!

— Ładne oczka twoje,  
Kochaneczko mała  
Lecz pamiętaj sobie,  
Byś nie zapłakała!

Bo łezka nie dobra,  
Oczka ci poplami,  
A matka mówiła:  
Ostrożnie z oczkami!

Na przestrołę matki  
Dziewczę nie zważało,  
Na ładnego chłopca  
Figlarnie spojrzało.

I bieży do matki,  
I z radości skacze:  
— Mamó-ż moja mamó!  
Ładny chłopiec płacze!

— Córko! biedne dziecię,  
Wnet przestaniesz skakać,  
Bo on śmiać się będzie,  
A ty będziesz płakać!

I łezka niedobra  
Oczka ci poplami,  
A jam ci mówiła:  
Ostrożnie z oczkami!

Miesiąć płakał chłopiec  
Kochał duszą całą,  
Miesiąć ładne dziewczę  
Figlarnie się śmiało:

— Nie godna kochania!  
Rzekł chłopiec na nowiu,  
Łza mi świat zasłania,  
A płacz szkodzi zdrowiu!

I nie płakał tydzień;  
Nie wiem jak się stało,  
Bo przez tydzień cały  
Dziewczę się nie śmiało.

A za dwa tygodnie  
Wyszedł chłopiec z chwałą,  
On się śmiał figlarnie,  
A dziewczę — płakało!

Oczka fijołkowe  
Dzisiaj łezka plami,  
Nie mówiłaż matka:  
Ostrożnie z oczkami?!

J. C. Z.

## NOWE DZIEŁA.

Nowa podróż na około ziemi odbyta na fregacie Ermancyi

przez

**Dr. Antoniego Zanowicza.**

Opowiedział Dr. T. Tripplin.

(Dokończenie).

Cały ten epizód ciągnący się dość długo i za długo nawet jak na książkę mającą być podróżą, nie bardzo jasno jest odszkiecowany. Pokazuje się tylko że pan Zano-wicz mocnym jest filozofem, nie umie sobie dać rady w tej sprawie ani z Indjanką ani z Alfonsem, i że całem szczęściem dla niego jest że piękna Talaja jest jak wiemy *Lutza palangi*, i że wierzy w świętość przysięgi dobrowolnej. A większem dla niego szczęściem jest nowe zdarze-nie, a na zdarzeniach jak wiemy nie brakuje nigdy sza-nownemu autorowi. Tem zdarzeniem jest walka zawzięta z jakimś korsarzem, niby zajmującym się handlem niewol-ników. Korsarz broni się zacięcie, Alfons odznacza się w walce, zdobywa statek korsarski, i.. zdybuje w nim śliczną dziewczynę, z Brazylii rodem, brankę korsarza. Dziewczyna oddaje się pod opiekę zwycięzcy, raczy go winem i kon-fiturami, i zawężuje się romans bardzo czuły i bardzo szybko postępujący. W czasie walki, Talaja, draśnięta lekko czerepem pękniętego granatu, wpada w gorączkę i w ja-kimś niby stanie jasnowiedzenia widzi scenę romansową na drugim statku, niekoniecznie godną jej niewinnych oczów i serca. Żal się jej robi za Alfonsem, i dostaje od niego rodzaj odrazy. Alfons tymczasem zostaje dowódcą zabra-nego statku i romansuje na piękne z panną *A Benita Formosa Lulia Tonseca de Portimeo Perilla de Braganza*. Błaga go by dał truciznę, która sama przez litość za-



pewne zanosi korsarzowi związanemu, aby się ten otruli nie doczekując haniebnej śmierci, co też ten skutecznia.

Co do samej podróży odwiedzają miasto Kap, przy czem autor opowiada trochę o Hotentotach, a trochę o Anglikach, żyjących tam wytwornie z komfortem europejskim. Angielki zaś namiętnie tam lubią bawić się i tańcować; to też ogromnie tam zarabia jakiś polak hrabia L... pan wysoki, dostojny i nie młody już, który daje lekcje tańcu.

Odwiedzają i wyspę Śtej Heleny i Teneryfę; pan Zanowicz robi wycieczkę na Piel. Talaja ubrana już po europejsku jako prawdziwa dama jeździ konno, i coraz więcej europejzuje się. Ale zawsze jakaś trapi ją tęsknota, rodzaj przecucia śmierci.

— Talaja kochała Alfonsa! sam przed sobą przyznaje pan Zanowicz. Ale cnota dzikiej Indyjanki tam się oparła, gdzie córka cywilizacji poszłaby jedynie za poszeptem zmysłowego uczucia.

Tem się pociesza nasz filozoficzny ziomek.

Tymczasem przypływa do Teneryfy statek wiozący wypędzonych z Otajty, Pritcharda i misjonarzy angielskich, i co najdziwniejsza że z nimi przyjechał także ów ksiądz Wincenty, zakonnik jak wiemy, ale w najlepszej komitywie żyjący z angielskimi misjonarzami, a wszystko to dla tego, aby dosięgnąć biednego Zanowicza, wyrzucić mu Talaję, i przyciągnąć go koniecznie do uparcie czyhającego na jego osobę towarzystwa.

Trzeba zatem pokryjomu zmykać, bo Talaję mogą urzędownie odebrać. Trafia się szczęśliwie statek parowy, na którym Zanowicz i Talaja zamawiają miejsca dla siebie.

Romans Alfonsa kończy się najcudowniej. Piękna donna rozkochana, ma jak się pokazuje grube pieniądze, nie wiem czy swoje własne, czyli też po korsarzu wzięte, którego uważa się zapewne być spadkobierczynią. Kupuje okręt, zabiera Alfonsa i jedzie żenić się z nim do Brazylii.

Kochankowie siadają na statek parowy, wiozący generała don Alberta Concha. Wdawszy się z nim w rozmowę dowiaduje się nasz lekarz, że pan generał Concha jest właściwie Litwinem, a przynajmniej synem szlachcica litewskiego, Kończa, który w czasie wypraw napoleońskich pokochał się i ożenił z Donną Inez de Castelfolio, i miał z nią dwóch synów, którzy oba są generałami. Matka umarła, ojciec wrócił do Litwy; stary dziad, grand hiszpański, wychowywał wnuków swoich, do ojca puścić nie chciał a szlachcica litewskiego Kończę przemienił na hiszpańskie Concha. I tak tedy dowiadujemy się o historii dość ciekawej, niekoniecznie prawdopodobnej chociaż możliwej.

Podróż odbywa się szczęśliwie. Przez Hiszpanję dostają się do Szwajcarii. Talaja zapomina o Alfonsie; już

też skończy się i wotum zaprzysiężone i już pierwsza wyszła zapowiedź.

Talaja nie tęskni do Eimeo, ani też mówi o Moraju. —

To są ostatnie słowa pamiętników pana Zanowicza. Na dokończenie i rozwiązanie połowa trzeciego tomu zawiera wyjątki z dziennika pana Alfonsa, który ożenił się z piękną brazylianką, został kapitanem korsarskim marynarki holenderskiej, i w pięć lat później po tych samych miejscach podróżuje także z panem Antonim Zanowiczem, doktorem ale nie tym samym, tylko dla wielkiego skomplikowania awantur, innym imiennikiem tamtego, przez co jak powiada p. Tripplin w nocy, obaj Zanowicze przebyli nadzwyczaj dziwne koleje losu. Ten nowy Zanowicz jest szwagrem pana Alfonsa, i wielkim wielbicielem płci pięknej.

O tej nowej podróży do Kalifornii, wysp Sandwichskich, Madagaskaru i Otajty niema co wspominać bo żadnych w niej niema szczegółów nowych.

Dowiadujemy się tylko w końcu, że prawdziwy Antoni Zanowicz mieszka na wyspie Eimeo. Talaja w Szwajcarii umarła. Kiedy i jak, nie opisuje nam autor, pobieżnie tylko wspomina, że Zanowicz jest księdzem, misjonarzem, pracującym w swoim zawodzie na wpół z owym księdzem Wincentym, z którym należy teraz jak się zdaje do jednego towarzystwa. Mimo to nie może zapomnieć pięknej Talai, którą po śmierci doskonale zabalsamowaną przywiózł aż do jej rodzinnej wyspy. Dla czego tak krótko autor koniec zbywa, nie wiemy zupełnie, chyba dla tego, że niektóre niewyjawione jeszcze szczegóły, dotyczące się bohaterów tej podróży, w innym jeszcze wystąpią dziele. Ile się zdaje jest to sposób używany zwykle przez p. Tripplina.

## IRLANDSCY PATRJOCI na wygnaniu.

Dokończenie.

Kupecy, piekarze, rzeźnicy postanowili nie przedawać żywności załodze *Neptuna*, a kto z nich postanowienie to przekroczył, padał ofiarą najdotkliwszych przesładowań ze strony klubu *anti-convict-association*. Zakaz sprzedawania czegośkolwiek załodze *Neptuna*, rozciągał się na wszelkiego rodzaju towary, niewyjmując sukna i płótna, tak, że biedni *Neptunowscy* znaleźli się w przykrem nader położeniu. W lutym nareszcie, roku 1850, przyszedł od lorda Grej rozkaz, aby ustąpić żądaniom kolonii, a zarazem przyniósł dla wszystkich skazanych, w nagrodę za wycierpianą niedolę warunkowe ulaskawienie. Jedyne wyjątek stanowił bohater naszego opowiadania, który miał być



przewiezionym do kraju *Van-Diemen*, w Ameryce Północnej. Tutaj doznają smutne dotąd koleje Mitchella szczęśliwej zmiany. Znajduje tu większą część swych przyjaciół z Irlandyi; skazani trzymają się odeń zdaleka; policja angielska nareszcie daje im nieograniczoną swobodę, pod jedynym warunkiem, iż się zobowiąże nie uciekać i że się co miesiąc przed urzędem policyjnym swego miejsca pobytu stawi. Mitchell, podobnie jak wszyscy inni Irlandczycy, dopełnili tego warunku, i uzyskali swobodę. Korzystając z niej, osiadł Mitchell, razem ze swym przyjacielem, John Martinem, w dystrykcie Bothwell.

Jedyny Smith O'Brien tylko wzbraniał się dopełnić żądanej formalności i został przeniesiony pod ścisłą straż na nadbrzeżną wysepkę *Maria-Island*. Tutaj odbierał częste odwiedziny rodzin irlandzkich. Mitchell wystawia go jako człowieka 50-letniego, powierzchowności majestatycznej, a nadewszystko jako człowieka niepospolitego hartu duszy. Żywem O'Briena przeciwieństwem jest za to O'Reilly, najklasseszniejszy typ Irlandczyka, rzutny, przedsiębiorczy, syjący mnóstwem artykułów po czasopismach amerykańskich przeciw Anglii za Irlandią.

Życie Mitchella w kraju *Van-Diemen* było w ogóle znośne. W krótko po przybyciu jego tam połączyła się z nim rodzina jego. W domach irlandzkich Keaneth, Mackenzie i Connell, osiadłych od dawna w kraju *Van-Diemen*, znalazł najczystszy typ irlandzko celtycki, tak jak go już prawie w Irlandyi samej nie widać; małe zatargi tylko i nieporozumienia z władzami angielskimi, budzą w nim niekiedy namietność przeciw nowoczesnym Kartagińczykom.

W czerwcu, r. 1854, dowiedzieli się Irlandczycy iż jakiś okręt ma wypłynąć z portu Hobart-Town. Mitchell udał się więc natychmiast do urzędu policyjnego w Bothwell, aby cofnąć swe słowo. Towarzyszył mu Path-Smith, obaj byli uzbrojeni w pistolety i rewolwery. Przybywszy do bióra, wręczył Mitchell panu Davis, temu samemu, od którego konia nabył, kopję listu swego do gubernatora angielskiego, w którym cofał swe słowo. Po przeczytaniu, go przez p. Davis, powtórzył mu raz jeszcze, iż się uważa za wolnego i że cofnął swe przyrzeczenie, a następnie, gdy p. Davis i jego podwładni oświadczenia tego dość obojętnie wysłuchali, wyszedł, wsiadł na konia i przybył szczęśliwie do portu Hobart-Town, z kąd go okręt *Don-Juan* wraz z Path-Smithem przez San Francisco, Greytown i Kube do Stanów Zjednoczonych zawiózł. Dnia 29 listopada 1854 zawiązał nasz bohater do portu Nowo-Yorskiego. Emigracja irlandzka z wszystkich europejskich doznaje jednak najmniej popularności i wziętości w Ameryce. Przesady rasy anglo-saksońskiej do celtyckiej odezwały się i na tem neutralnem polu.

G. W.

## POTEGA PIEŚNI LUDOWEJ.

Znany powszechnie, świeżo zmarły pisarz Emil Souvestre, był rodem z Bretanii, i jako prawdziwy bretończyk kochał nad wszystko ten swój kącik rodzinny. Kilka lat życia swego poświęcił aby z kronik pisemnych i z innych ludu kronik zebrać jak najłokładniejszy obraz i charakterystykę tego dawnego szczepu celtyckiego, który jeden we Francyi zachował aż do dzisiaj swoją cechę odrębną. W tem dziele zebrał on z wielką erudycją a oddał z całym wdziękiem stylu i wykładu pełnego poezji, wszystkie Bretonów zwyczaje i obyczaje, podania i przesady, poezje i pieśni.

Przebiegając dzieje pieśni ludowej, która w starej Armoryce ważną zawsze odgrywała rolę, opisuje szczególną onej tam cechę. Pieśń ludowa w Bretanii stanowi całą prawie literaturę bretońską, bo w niej zachowują się wszystkie ich pamiątki dziejowe. Wszystkie ważniejsze zdarzenia stają się zaraz własnością pieśni ludowej, która je chwytą zaraz, ubiera w szatę poezji, rytmu i nót, i z góry do góry, przez pasterzów i pasterki po całym kraju roznosi lotem łyskawicy, lotem telegrafu. A w pieśni ludowej u nich wszystko się mieści: oda i eligja, romans i satyra, a nawet wszelkie nauki i umiejętności. Pieśń ludowa odgrywa tam niejako rolę dziennikarstwa dzisiejszego, w jego najrozmaitszych postawach. Nie tylko zdania ale i wiadomości, potrzebne ogółowi, rozchodzą się przez pieśni. I tak w czasie cholery nadaremnie rozsyłano cyrkularze po całej Bretanii z uwiadomieniem o sposobach jakich należy używać naprzeciw tej strasznej choroby; nadaremnie przylepiano je do bram kościelnych, zawieszano na cmentarzach i po rogach ulic. Bretończyk nie lubi czytać, przechodził koło drukowanych obwieszczeń i okiem na nie nie rzucał. Aż się znalazł poeta ludowy który środek naprzeciw cholery w pieśni umieścił: w tydzień śpiewano po wszystkich miasteczkach i wsiach następujące dwie zwrotki:

„Chrześcjanie aby uniknąć cholery jedzcie mało owoców, a pijcie wodę mieszaną z octem. A gdy się spociecie nie kładcie się na zimny trawie.

Pomnijcie na to chrześcjanie! bo właśnie nadchodzi już sierpień z swojemi pragnieniami, potami i znojem.

Ci co rady mojej nie posłuchają dostaną cholery, i wpakują ich między cztery deski, a dzieci ich zostaną sierotami.”

Pieśń ta którą wszakże prefekt nie pozwolił publikować przez merów, bo nie była podpisana przez lekarza, więcej dobrego zrobiła, roznoszona od wsi do wsi przez śpiewających żebraków, niżeli wszystkie obwieszczenia higieniczne z urzędu rozsyłane.



Nie dosyć na tem, ale pieśń ludowa w Bretanii staje się czasem głosem publicznego zdania, którego wyroki, śpiewane po całej prowincyi, potępiają lub wysławiają to co nieraz umknęło z podwładzy prawa. Wyroki te zawsze sprawiedliwe bo natchnione niejako z duszy narodu, są niecofnione. Płyną po górach, lasach i niwach, odzywają się w każdym zakątku i nigdy nie milkną. Bieda temu, który za życia takiemu podlegnie wyrokowi.

Ciekawe i przerażające z tego powodu zdarzenie opowiada pan Emil Souvestre. W czasie stu dni po powrocie Napoleona z Elby, część Bretanii przypomniałszy sobie czasy dawnych Szuanów powstała naprzeciw cesarskiemu wojsku. Przyszło nawet do pożyczki pod Aurag, w której nie mało padło trupów z jednej i drugiej strony. Na drugi dzień z rana młoda kobieta szła z sierpem w ręku przez pole bitwy. Zdybywała wszędzie ślady walki, kawałki mnudurów poszarpanych, połamanych bagnetów, a nawet tu i ówdzie czerwieniła się krew spieczona. Trupów wszakże nie było już nigdzie, bo chłopci przyszli w nocy i pochowali je; kobiety chodziły z workami, odbierając kolejno nieprzyjaciół, a modląc się za swoich; chodziła nawet wieść, że się niektórym niemale dostały łupy. O tej wieści myślała zapewne wieśniaczka, bo się oglądała z wielką ciekawością, jak gdyby spodziewała się znaleźć co jeszcze. Przechodząc nareszcie koło bagna szuwaru zarosłego, chciała już przyspieszyć kroku, gdy nagle usłyszała jakiś dźwięk broni, i z szuwaru podniósł się naprzód bagnet, a za nim głowa krwią zamazana i cierpiąca. Po mundurze poznała, że należał do oddziału marynarzy, którzy także walczyli w szeregach cesarskiego wojska.

Bretonka zatrzymała się, słowa nie wyrzekła, jeno silniej sierp ścisnęła.

Raniony przemówił osłabionym głosem kilka słów w narzeczu Bretońskim, wzywającą znakami, by się doń zbliżyła. Ona też milcząc ciągle zrobiła parę kroków. Raniony zdołał się podnieść na kolana.

— Czego żadasz? spytała wieśniaczka krótko.

— Czy są tu jeszcze wojska w okolicy?

— Już odeszły.

— Od kiedy?

— Od wczoraj.

— To być nie może, wszakże byliśmy zwycięzcami.

Wieśniaczka nie na to nie odpowiadała, stała tylko naprzeciw niego prosto i obojętnie. A przecież kłamała, bo wojska były jeszcze w Auraj.

Ranny jeszcze ją wypytywał, w końcu uwierzył że jest zupełnie opuszczony. Raniony mocno w czasie potyczki, schował się do bagna, mniemając, że po skończonej walce będzie mógł dać znak jakiś towarzyszom swoim. Wiadomość o ich odejściu wprowadziła go w rozpacz. Nie-

miał siły wywlec się bez pomocy, a zresztą obawiał się aby go Szuanie niezamordowali przez nienawiść do munduru, czemu biedny młodzieniec nie był winien. On był także bretończykiem; porwano go gwałtem na okręt i tym sposobem musiał służyć stronnictwu, któremu był może nawet przeciwnym. Miał nawet ojca i braci w okolicy. Pokładając tedy całą swą nadzieję w młodej wieśniaczce, prosił jej, aby dała znać ojcu, który zapewne sam z synami przyjdzie po niego. Wieśniaczka słuchała go w zupełnem milczeniu; oczy tylko iskrzące wcisnęła w rannego, który u nóg jej prawie leżał. Przystąpiła wreszcie jeszcze bliżej, i ozwała się do niego głosem stanowczym.

— Jeżeli chcesz abym dała im znać, daj mi zegarek.

C. d. n.

## Rozmaitość.

\* W Czerniowcach istnieje od lat już czterech biblioteka publiczna, która powstała i utrzymuje się dotąd ze składek dobrowolnych, dawanych po części od razu, po części corocznymi datkami. Ze sprawozdania tegorocznego dowiadujemy się, że fundusze biblioteczne, tak z nowych składek, jakoteż z procentów zwiększyły się o 865 zr. 19 gr. m. k. Odrzuciwszy wydatki rozmaite fundusz na dalsze lata wynosi 3712 zr. 50 gr. m. k. Księgozbiór sam zwiększył się o 268 dzieł po większej części daremnych, i posiada już teraz 1654 dzieł w 3243 tomach. Najciekawszą dla nas jest rzeczą, że pomiędzy nowo przybyłymi dziełami, polskich jest 121 dzieł, co prawie połowę wszystkich stanowi. Romańskich dzieł przybyło 10. Taki przybytek dzieł polskich jak na Czerniowiec należy do prawdziwych szczegółności. Między nazwiskami tych którzy wzbogacili księgozbiór daremami swemi, czytamy nazwiska księgarzy Wilda, Milikowskiego, Franciszka Pillera, drukarza Piotra Pillera, i wydawcy Przyjaciela domowego, p. Stupnickiego.

\* Stowarzyszenie ku dostarczaniu taniej żywności dla stołecznego miasta Lwowa rozpoczęło działalność swoją. Towarzystwo to zamierza dostarczać najpotrzebniejszej żywności po cenach o ile możliwości hurtownych. Członkami towarzystwa stają się ci, którzy przez wypożyczenie najmniej 100 złr. na czas 9 miesięcy lub darem pieniężnym najmniej 10 złr. do zebrania funduszu stowarzyszenia przyczynią się. W żadnym wypadku nie jest członek do następnych dopłat obowiązany, i ręczy tylko za kwotę subskrybowaną. Część funduszu darowizną zebrana, posłuży przedewszystkiem jako fundusz rozerwowowy na pokrycie kapitałów i 5 procentów prowizyi, potem wraz z inną nadwyżką do wsparcia niedostatek cierpiących.

Zakres działania towarzystwa ograniczy się na 3 główne sposoby sprzedaży: a) Na rozprzedawanie rzniętego i drobno łupanego drzewa na opał, po pół i ćwierć sęga, jakoteż i na wiązki b) Na sprzedaż żytniego i pszennego chleba. c) Na sprzedaż krup, maki, kartofel i t. d.

Towarzystwo użyje do tego ludzi trudniących się tym przemysłem i tylko na wypadek nieporozumienia z piekarniami, greizlerami i trudniącymi się handlem wiktuałów, postara się o własne piekarnie i miejsce sprzedaży. Rozprzedawanie konsumentom odbywać się będzie tylko za gotową, natychmiast niszczać się mającą zapłatę, i z ściśłem ograniczeniem na ich własną potrzebę. Po upływie wyznaczonego czasu 9ciu miesięcy będzie towarzystwo rozwiązane. Dyrekcja ma przedłożyć sprawozdanie ze strony wydziału



rachunek i bilans zgromadzeniu ogólnemu, które je potwierdzi lub sprostuje. Potem będą pożyczki wraz z przypadającą 5 procentową prowizją pożyczającym niezwłocznie zwrócone.

**Przyjechali** od dnia 13. do 15. listopada do Lwowa.

PP. Neuber Franciszek, z Tarnopola. Ender Ferdynand, z Zaleszczyk. Ender Antoni, z Szawkowic. Buraczyński Dionizy, z Haralad. Komarnicki Bolesław, z Jackowiec. Czaykowski Jan, z Bóbrki. Hr. Starzeński Leopold, z Mszanicy. Kowalski Andrzej, z Sartow iec. Laniewicz Erazm, z Zadworza. Manasterski Józef, z Błazowa. Nercus Hoszowski, z Chłopczyce. Modrzejewski Dominik, z Sądowy Wiszni. Czerkawski Felix, z Przemyślan. Stracz Feliks, z Złoczowa. Czerkawski Stanisław, z Hułkowa. Wysocki Józef, z Łopatyna. Jaruntowski Jan, z Melchowiec. Poten Friedrich, z Łahodowa. Wolski Marcin, z Kamionki. Oelberg Felix, z Stanisławowa. Szczepański Marcelli, z Udrowa. Zarzycki Tytus, z Chotyluba. Tchorzniński Jan, z Cucułowic. Piskórski Jan, z Tłustego. Leon książę Sapieha, z Wysocka. Morawski Konstanty, z Pohorec. Grochowalski Zygmunt ze Swirza. Kleski Jan, z Wierbiaża. Mroczkowski Jan, z Rohatyna. Kozowski Michał, z Stratyna. Giebułtowski Andrzej, z Krakowa. Czernowski Stanisław, z Krakowa. Brunicki Leon z Rzeszowa. Siemiginowski Włodzimierz, z Rzeszowa. Stopeczyński Franciszek, z Gródka. Hr. Karnicki Teodor, z Michałowic. Giemierzyński Józef, z Brzozdowic.

PP. Eminowicz Kajetan, ze Smerekowa. Romaszkan August, z Krakowa. Klimkiewicz Józef ze starego Brnsna. Stokłosiński Wojciech z Mikłuszowic. Kucharski Wilhelm, z Złoczowa. Glixell Juliusz z Glinian. Boczkowski Kasper, z Wołowego. Michałek Wacław, z Bóbrki. Hr. Krasicki Edmund, z Stratyna. Adamowicz Sebastian, z Zadwórze. Rogojski Karol, z Żurawna.

**Wyjechali** od dnia 13. do 15. Listopada ze Lwowa.

PP. Sochocki Antoni, do Żółkwi. Udrycki Adolf, do Uhnowa Witkowski Tadeusz, do Soroki. Malczewski Stanisław, do Czesnik Biliński Hilary, do Norówki. Oelberg Felix, do Stanisławowa. Łuczyński Józef, do Komorowczyn. Serwatowski Wojciech, do Krakowa. Stopeczyński Franciszek, do Gródka. Rohm Wiktor, do Jarosławia. Siarczyński Wincenty do Stryja. Dzielechowski Jan, do Brzeżan. Kastory Stanisław do Tarnopola. Czernowski Piotr, do Sędziszowa

**Lwów, 14. b. m.** Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 30 złr. 50 kr. do 37 złr. 30 kr. — Zyta po 28 złr. — kr. do 34 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr do — złr. — kr. Owsa po 12 złr. 30 kr. do 13 złr. 20 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 20 złr. 15 kr. — Ziemiaków po 10 złr. 30 kr do 12 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 47 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 38 złr. 45 kr. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 30 kr. — Centnar słomy 2 złr. 2½ kr. do 2 złr. 10 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2. popołud.**

Augsburg za 100 złr.	113 <sup>3</sup> / <sub>8</sub>	Pożyczka 5%	74 <sup>5</sup> / <sub>8</sub>
Hamburg za 100 tal. banco	82 <sup>5</sup> / <sub>8</sub>	Akcyje banku	944
Londyn za 1 funt szterl.	116	Kolej północna	2040
Medyolan za 300 lirów	112 <sup>1</sup> / <sub>4</sub>	Obl. ind.	69 <sup>1</sup> / <sub>8</sub>
Paryż za 300 franków	132 <sup>1</sup> / <sub>4</sub>	Nowa pożyczka z loterya	97 <sup>13</sup> / <sub>16</sub>
Agio duk. ces.	18 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	Pożyczka narodowa	78

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 11	złr. 5 kr. 15	
Dukat cesarski	" 5 " 17	" 5 " 20	
Półimperyal zł. rosyjski	" 9 " 5	" 9 " 8	
Rubel srebrny rosyjski	" 1 " 43	" 1 " 43	
Talar pruski	" 1 " 40	" 1 " 42	
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 13	" 1 " 15	
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	90	" 90	24
Galicyskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	68	" 30	68 " 55
5 proc. pożyczka narodowa	78	" —	78 " 45

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.**

## Z handlu ogrodniczego KAROLINY GEISTLER „pod wiosną”

w rynku pod liczbą 158, ogłasza się szanownej Publiczności o świeżo nadeszłych z Harlemu (w Holandyi) cebul kwiatowych, jako to: Hyjacynty, sztuka po 30 kr., tulipany pełne, sztuka 10 kr., touberose, sztuka 20 kr., lilie lancyfolie sztuka 2 złr., lilie zwyczajne po 12 kr. mon. konwenc. Sprzedarz wyż wymienionych cebul trwa do 20. listopada, później tylko w wazonach.

(199 4—4)

## Poszukiwana jest posada Agenta do

politycznych interesów skarbu przez byłego mandataryusza i sędziego policyjnego, który w ciągu swego urzędowania w kilku skarbach według mianych w ręku dowodów podobnemu zawodowi się oddawał. Bliższą wiadomość udzieli ekspedycja „Nowin.” (214 2—3)

## Księgarnia

**J. A. Pelara w Rzeszowie**

poleca swoją

## Wypożyczalnię książek

która zawiera dzieła w języku polskim i niemieckim, treści naukowej i zabawnej, oryginalne i tłumaczenia najnowszych i najciekawszych dzieł, po kilka egzemplarzy, żeby równocześnie żądaniom kilkunastu abonujących zadość uczynić można.

Katalogu dzieł znajdujących się w czytelni i szczegółowych warunków, udziela na żądanie wyżej wymieniona księgarnia.

(194 6—6)

Für **1856** ist

der seines gediegenen Inhalts, wie seiner netten Bilder-Beigaben wegen beachteswerthe

Kalender :

## Der Volksbothe

so eben erschienen und für 24 kr. C. M. in allen Buchhandlungen der Monarchie vorrätig, so auch bei

**J. Milikowski**

in Lemberg, Stanisławow und Tarnow.

(215 2—3)

Z drukarni E. Winiarza.